

Wiech
Opowiadania powojenne

Tom VI
Szafa gra

WIECH

Stefan Wiechecki

SZAFA GRA

vis-à-vis
etiuda

Kraków 2023

Szafa gra

Wieczory artystyczne na zakładach pracy to bardzo pożyteczna i przyjemna akcja. Przy czym trzeba wyjaśnić, że nie odbywają się one na dachach tych zakładów, tylko w środku, nieraz w bardzo pięknych świetlicach. Dlaczego się mówi, że „na zakładach” – nie wiadomo! Ale tak się mówi.

Sam bardzo chętnie biorę udział w takich wieczorach jako recytator własnych utworów. Mam nawet sporo związanych z tym miłych wspomnień.

Niedawno w mieszanym literacko-koncertowym zespole byłem „na” pewnym śląskim zakładzie pracy. Przyjmowano nas bardzo przychylnie, a po koncercie jeden ze starszych widzów, gorąco ściskając mi rękę, rzekł:

– Bardzo, bardzo dziękujemy! Ogromnie nam się wszystko podobało, no, wprost do zachwytu! Ładnie państwo grali, śpiewali, i te pana „humory” też oblecą, nie można powiedzieć. Jednym słowem, koncert – mówiąc po warszawsku – w deseczkie. Bo ja, panie szanowny, stary warszawiak, tylko jako spalony, teraz tu zamieszkuje. Faktycznie, odstawił państwo robote czysto, akuratnie, bez braków, marnego słowa nie da się powiedzieć, mucha nie siada. Nie tak jak inne zespoły, co tu bywają. Jak po ogień wpadną, odpędzają na chybicka pare piosenek czy deklamacji okolicznościowych i chodu. Spieszą się do innej świetlicy. Na przykład w zeszłym tygodniu byli tu jedne artyści, to tak się spieszyli, że jeden z nich, gruby, mały, w okularach, przedostatnią zwrotkę „Szumią jodły na gór szczycie” śpiewał na schodach, a ostatnią już w samochodzie. Z ulicy żeśmy go

tylko słyszeli, ale słabo, bo okna zamknięte. Nie tak jak państwo.

– No staraliśmy się dać pełny program – usprawiedliwiam się skromnie, zażenowany tymi pochwałami.

– Faktycznie, pełny, może nawet ciut, ciut za długi. Pod koniec publika zaczęła się nawet troszkie urywać. Ale tylko siedząca bliżej drzwi. Zamkliśmy później na klucz, ale ze dwadzieścia parę osób zdążyło jeszcze prysnąć.

Wśród obustronnych serdeczności rozstaliśmy się z młym ekswarszawiakiem. Ale w dwie godziny później, w restauracji wojewódzkiego miasta, gdzie jedliśmy kolację, przypomniały mi się jego słowa. Wywołane to było faktem, że sąsiedni stolik zajmował właśnie ów „pospieszny” zespół. Nawiązałem rozmowę z kierownikiem i w delikatnych słowach zwróciłem mu uwagę na niesolidny stosunek do tak ważnego zadania.

Spojrzał na mnie zdziwiony i żywo zaprzeczył:

– Nic podobnego, szafa gra!

– Jak to szafa gra?

– No, zwyczajnie. Wszystko jest w najlepszym porządku. Zadanie wykonane w terminie i na sto procent, chociaż z wielkimi trudnościami. Ale się pracuje. Odwałam cztery koncerty dziennie w półtorej godziny.

– To chyba niemożliwe!

– Niech pan posłucha. Mam zespół ośmioosobowy. Dziele go na cztery części, po dwie osoby. Zaczynamy jednocześnie w czterech świetlicach. W jednej koleżanka Caproni tańczy „Taniec z mieczami” Chaczaturiana i kolega Caruzo-Wysmyk śpiewa „Samotnego harmonistę”. W drugiej kolega Molski recytuje „Ojca zadżumionych” i „Grzybobranie”, a Gromiczówna interpretuje „U krynicy tri dziewicy”. Wolnicz z Gamajdzianką zaczynają w trzeciej „Pieśnią dokerów” i „Sabiną Piesek przed sądem”. Na czwartym zakładzie Szypuła-Rwęcki zasuwają „Szumią jodły”, a ja ich wszystkich robię na szaro „Wio konikiem”. Potem – szufladki. Taksówki czekają. Chaczaturian przeskakuje z „Samotnym harmonistą” na miejsce

„Sabiny Piesek”, „Ojciec zadżumionych” zabiera „Tri diewicy” i zapycha z nimi tam, gdzie „Szumią jodły”. „Jodły” z „Konikiem” – gazu i wio na miejsce Chacaturiana. Szafa gra!

– Ale czasem się podobno zacina.

– Bardzo rzadko.

– No a wtedy z tą arią z „Halki” na schodach?

– Wtedy to siła wyższa. „Ojcu zadżumionych” kicha nawaliła i cały plan wysiadł. Jontka trzeba było wcześniej ściągnąć za frak z estrady, bo „Sabinie Piesek” zrobiła się dziura na dwadzieścia minut. Ale wszystko piorunem się zalała. Gorzej bywa. Taki na przykład Teatr Wielki z Cieleńca stale gra „Grzech” i „Rewizora” w dwóch połówkach. W jednej świetlicy I i II akt, w drugiej III i IV. Publiczność sobie potem opowiada wzajemnie, co kto widział, i szafa gra.

– No dobrze, ale dlaczego tak się dzieje?

– Jak to dlaczego? Z jednej strony zespoły muszą dogonić plan zobowiązań, a z drugiej – zakłady muszą wydać forszę przeznaczoną w budżecie na kulturę. A czasu mało – grudzień, koniec roku.

– A czy nie lepiej rozłożyć tę robotę na cały sezon?

– Po co, i tak szafa gra!

A ja spokojny

Ja tam wyścig nie amator, jeżdże czasem na Służewiec, ale tak więcej sportowo i dla powietrza. Szwagier się za to zna. Każdego konia wagie na wyrywki wyszczególni i wie, z jakiej rodziny. Kto była mamusia, kto babcia z domu i jak się nazywał pradziadek.

Ale szwagier też więcej sportowo się interesuje, nie dla tak zwanej brzęczącej mamony – nie było jeszcze wypadku, żeby kiedy wygrał, chociaż obstawia wszystkie biegi, jak się da.

Ja kartki sobie z numerkami pisze, kładę ich do kieszeni, wymieszam, wyciągam jedną i co jakiego konia wylosuję, na takiego stawiam. I takie same mam rezultaty jak szwagier – sportowe zadowolenie, że hodowlę popieram. Nawet bileta wizytowe zamierzam sobie wydrukować: „Walery Wątróbka – hodowca koni wyścigowych”.

Ale ja się nie denerwuję, ja spokojny, stoje sobie przy kratce i patrze, jakby to nie moje piętnaście złotych leciało. Już przy kasie żegnaj się z nimi na wieki wieków i potem mam spokój.

Ale to nie wszyscy tak. Można się na wyścigach napa-
trzyć, jak się ludzie męczą. Jedni krzyczą:

– Dawaj! dawaj! dawaj! Kilowat, dawaj!

– Bravado!

– Krezus, Krezus wyłazi!

– Chory człowiek, Krezus idzie ostatni, w sianie został!

– Stogów na torze naustawiali, żeby widok zaciemnić,
jak pragnę zdrowia!

– Po sianokosach przyjdę na wyścigi, prędzej nie! – I rzu-
ca taki przegrany sportowiec kapelusz na ziemię i nogami go
depcze.

Są jeszcze więcej zapalone gracze. Stoje raz przy samej
siatce i czuje, że mnie ktoś czemś twardem przez plecy za-
prawił. Oglądam się, stoi za mną dziobaty facet z bambusem.
Oczy dzikie, piana na ustach, krzyczy:

– Łepek! Łepek! – i co raz mnie łagą leje.

– Panie szanowny, co pan mnie poganiaasz, swojego łacha
pan poganiaj.

I co miałem więcej mówić, kiedy widzę, że wariata mam
przed sobą.

A ja spokojny.

Ale są też spokojne wyścigowcy, mimo tego nieprzytom-
ne. Z zamkniętymi oczami stoją albo się modlą do świętego
Krzysztofa, patrona komunikacji. Jednego widziałem, co się
plecami odwrócił do toru i tyłem stał przez cały czas. Pytam
go się dlaczego.

– Nie gram w tem biegu, na co mam patrzeć, to nie araby, perszerony lecą.

Nie miał już czem żadnego z tych perszeronów obstawić i dlatego był taki cięty.

Ja gram swoją metodą i z nerw nie wychodzę, przy kasie forsa pożegnana na wieki, na hodowlę poszła i ja spokojny.

Ale dobrze jest czasem poradzić się znawcy. Są tam takie faceci na torze. Profesorowie, co pare fakultetów kończyli na wyścigach w Łodzi, Sopotach, a nawet w Zakopanem. Takiego się zapytać, murowana wygrana. Sam raz miałem zdarzenie. Nie wziąłem z domu ani ołówka, ani papieru, nie miałem z czego kartek narobić, totyż podchodzę do takiego profesora, któren obłożony programami stojał i w notesie coś pisał, i pytam go się:

– Panie szanowny, co pan radzisz grać teraz?

Nawet się na mnie nie spojrział, tylko nadmienił:

– Graj pan trójkie!

Trójka przyszła, jak chciała, i na dużą wypłatę. Lecę do tego faceta i ze łzami w oczach mu dziękuję, a ten jak nie zacznie mnie sztorcować:

– Idź pan do cholery – mówi – bo jak cię, ciapciaku, objadę, to kamasze pogubisz.

Pokazało się, że on sam grał piątkie. Najgorsze jest te zdrucanie się w ostatniej chwili. Widziałem takiego jednego, co stał na środku sali, tam gdzie kasy; prawe rękę przed siebie wyciągał i krzyczał:

– W tem rękę trzydziestaka miałem na Bugattiego! Przy kasie już stałem i skądś diabli przynieśli Majeszczaka! Wyśmiał się ze mnie i zdruciłem się z takiego konia! Dwanaście lat go drania nie widziałem, od początku wojny, i masz pan, w takiej chwili przyszedł i szczęście mnie zniweczył!

A niedaleko jakaś paniusieczka straszmem wzrokiem patrzy na bladego blondyna i zaznacza:

– Co ja ci mówiłam? Co ja ci kazałam kupić... łotrze?

– Widzisz, duszko, ja...

– Milcz, w domu porozmawiamy.
I zabrała go duszka jak swojego.
A ja spokojny. Co wplacone do kasy – mogiła – na ho-
dowle!
Styczeń 1953 r.

Walerek mistrz szachów

Jako stały czytelnik, a także samo zwolennik i nałogowy uczestnik, bierze stale i wciąż czynny udział we wszystkich konkursach „Expressu”.

Czego by redaktor podczas bezsennych nocy nie wymyślił, jakiej by zagadki dla czytelników nie ułożył, mnie nie zagnie – wszystko rozwiązuje na medal albo chociaż się staram. Totyż, jak ogłosił o błyskawicznym konkursie szachowym, myśle sobie: „Walerek, było nie było, musisz wziąć udział”.

Jakżem się przytargał z poważną wałówką i pudełkiem szachów na sale, zgorzałem – czekało na mnie przeszło sześciuset facetów w różnym wieku. Od dzieci przy piersi do łysych staruszków z siwymi brodami. W rezerwie było jeszcze ze dwadzieścia kobiet, w tem pare sztuk takich, że daj Boże każdemu.

Myśle sobie: „Walerek, jest niedobrze. Wszystkiem jem nie dasz rady, ale kogo się da, musisz załatwić. A gront, żeby błyskawicznie, nie dać partnerowi oprzytomnieć”.

Posadzili mnie przy stoliku z pięcioma jakimiś szachistami.

Dwóch było łysych, jeden w okularach, jeden z kurzajką na nosie i jeden małoletni w wieku może sześć lat. Żal mnie było, że dziecko musi się ze starymi graczami męczyć, ale myśle sobie: „Nic, nic, jak załatwie tych łysych i tego z kurzajką, pomogiemu temu pętaczkowi oblecić się z resztą ferajny. I najwyższej nagrodą się z niem podzielić”.

I zaczęło się. Na pierwszy ogień dostałem w ręce „kurzajkie”.

Jak przez szczechaczkie dali komendę, żeby zaczynać, poszłem w taki cug, że mój przeciwnik zdrętwiał, nie mógł za mną nadążyć. Jak on przeskakiwał konikiem przez dwie figury, to ja przez trzy, jak on przez trzy, to ja przez cztery. „Dla mnie nie będziesz mądry – myślę – ja cie tu zaraz zrobie na szaro”.

Pograliśmy pare minut i „kurzajka” zbaraniała. Ani wewte, ani wte ruszyć się nie mogła. Publika zebrała się nad nami, bo podobnież taka partia zdarza się w szachach raz na trzydzieści lat. Jakiś podobnież Capablanca raz tylko tak zagiął Alechina na światowym konkursie w mieście Nicei przed wojną.

Szum się zrobił na sali, najpierwsze mistrze się do nas zlecieli i patrzą, a my się nie możemy ruszyć. Jeden najważniejszy mistrz z małym czarnym wąsikiem patrzy na drugiego mistrza w okularach i ramionami wzrusza, koniec w końcu pytają się mnie, czy gram metodą Alechina. A ja mówię:

– Nie, Bliklego.

Popatrzyli się na mnie z szaconkiem. Uznali „kurzajkie” za przegranego i kazali grać z następnym szachistą. To ja znowu zaczynam zasuwać na całego. Alem tak się rozpędził, że zagrywałem czarnymi i białymi figurami. Wtenczas te dane mistrzowie zupełnie zgorzeli i pytają się, jak dawno grywam w szachy. No to ja mówię, że pierwszy raz mam to w ręku.

– Jak to pierwszy raz?

– Ano tak, widzieć, owszem, widziałem nieraz te gre przez szybe w cukierni Bliklego na Nowem Świecie przed wojną, ale osobiście biere udział po raz pierwszy.

Jakżem to powiedział, podziękowali mnie grzecznie i kazali wstać. No to, ma się rozumieć, zabrałem szachy i poszłem. Pokazało się, że wszystkich obębnił i znowuż za mistrza się został ten z wąsikami, niejaki podobnież Makarczyk z Łodzi miasta. Mnie wylał, bo konkurencji się obawiał. I miał faktycznie czego, bo z dzieciakiem, który trzy partie wygrał, wykołowałibyśmy całą ferajne szachistów. Ale cóż, nagrody nie dali, chociaż najwięcej błyskawicznym graczem byłem osobiście ja.

Styczeń 1953 r.

Fanfan Fijoł

– Byłem, uważasz mnie pan, w kinie „Praha” na tem całym obrazie pod tytułem „Fijoł”.

– Jaki Fijoł, nie wiem, o czym pan mówisz.

– Jak to pan nie wiesz? Taki mocno hisiowaty młodziak, co z pałaszem po dachach lata i kogo może, to dziabnie, z francuską królową chce się żenić, a w tak zwanem międzyczasie Cyganka nie Cyganka, córka kułaka nie kułaka – co w sianie przytraci, to jego. Z gałęzi się urywa, na dzwonie huźda!

– A... to Fanfan Tulipan, nie żaden Fijoł!

– Jaka różnica, i to, i tamto z kwiaciarskiej branży.

– No, różnica jest: fiołki na pęczki, a tulipan kwiat galanteryjny, doniczkowy.

– Mniejsza o to, dosyć na tem, że obraz pouczający i nic dziwnego, że ludzie od rana przed kinem stoją w ogonkach, a kierownik i bileterzy ledwo nogami ze zmęczenia powłóczą.

– Faktycznie, tak jest, ale o czymże on nasz detalicznie, podług pańskiej osoby, poucza?

– Jak to o czym? Wyraźnie pokazuje, jakie to dranie te dawniejsze króle byli.

– No, rzeczywiście, król piękne Cygankie przy kości Tulipanowi odebrał i na siłę chce z nią zamieszkać.

– A ona go w mordę!

– I patrz pan, jak dostał w pycho, zakochał się już bez pamięci!

– To mnie się zdaje troszeczkę niepoważne. Mojego braciszka żona, znaczy się bratowa, dwadzieścia lat w ucho go leje, a on się jakoś nie może w niej rozkochać na zabój.

– Twardy facet!

– W każdym bądź razie kawał oprychy.

– Kto?

– No Lutek Piętnastka.

– Jaka Piętnastka?

– No ten cały król. Nie wiesz pan, że króle są numerowane?

– I po mojemu słusznie, boby się dzieciom w szkołach mylili.

– W każdym razie „Piętnastka” duży rozbijaka.

– Dzisiaj już by taki chojrak nie był!

– Przypuszczam. Chociaż trafiają się podobne w tych paru sztukach, co się jeszcze po świecie kręca. Jak na przykład ten egipski Twaróg.

– Faruk, nie Twaróg. Ale pognali mu kota koniec końców.

– No, tak jest, ale czytałeś pan chyba w „Przekroju”, jak na ostatek jeszcze zaszurał. Nie dosyć że za kazionne pieniądze tysiąc pięćset krawatów sobie sprawił, dwieście lasek (na cholere mu tyle lasek!) oraz dwa tysiące koszul dziennych popelinowych, „codziennie wyrzucał raz noszoną koszulę”...

– Może miał „drobne”, czyli jak to mówią, egipskie baranki?

– To umyj się, łobuzie, proszkiem galanterie wysyp, a surowca nie niszczył! Ale nie dosyć na tem, że rządową forszę wydawał na pocztówki z cieleśną treścią, jeszcze siedemnaście narzeczone jakiemuś doktorowi zabrał i sam się z nią ożenił.

– Po mojemu ten doktor to jakiś flimon, że dał z siebie parasola zrobić. Tulipan inaczej by postąpił. Króla parę razy pałaszem po krzyżu by przeciągnął, narzeczone na konia i chodu na puszcę Saharę. Rzecz jasna, że po drodze musiały ładne pare osób zimnem trupem położyć i podpalić coś niecoś z zabudowań, ale Faruk leżałby u niego jak neptek.

– No dobrze, panie szanowny, ale co by doktor robił na tej puszczy, z czego by egzystował?

– Spokojna głowa! Beduinów by leczył. Z samego egipskiego zapalenia oczów mógłby ładnie żyć i żonę przyzwoicie utrzymać. I w taki sposób nic dziwnego, że dla

Tulipana ludzie, a zwłaszcza kobiety, słów nie mają, a doktora uważają za ciapciaka i wypchane trocinami mumie egipskie.

Styczeń 1953 r.

Baba-ryba, czyli o herbach

„Życie Lubelskie” obchodziło w tych dniach pięciolecie swego istnienia i przysłało miłe zaproszenie do Lublina dla mnie oraz dla pana Piecyka.

Kiedy przekazałem panu Teosowi zaproszenie, odpowiedział krótko i po męsku:

– Szkoda mrugać, trzeba jechać, a także samo laurkie z okolicznościowem napisem wziąć ze sobą musowo.

W dniu wyjazdu przyszedł jednak bez laurki, a na moje zapytanie o powód wyjaśnił:

– Niestety się stało. Z laurki wyszli nici. A detalicznie to było tak: prawidłowej laurki prawo oprócz napisu malowankie jakąś posiadać w charakterze niedużego bukietu kwiatów czy też widoczku jakiegoś, jak na przykład cicha noc księżycowa albo pare jaskółek na telegraficznym drucie.

Ale jedno i drugie wydało mnie się w końcu niepoważne. Róże i cicha noc to dobre na imieniny dla babci w Koluszkach. Doskakiwanie znowuż z jaskółkami na drucie w styczniu może wykazywać brak samopoczucia tak zwanego socjalistycznego rojalizmu.

Totyż postanowienie zrobiłem namalować w lewym winklu laurki herb miasta Lublina. Rzecz jasna nie osobiście, bo pod tym względem jestem niefachowiec – jeden znajomy malarz mnie to zrobił.

Ale jakżem zobaczył ten obstalunek – zgorzałem.

„Coś pan tu namalował?” – mówię do malarza. „Koza na krzywe drzewo skacze i liście z niego wtraja? Chcesz pan mnie

z redakcją »Życia Lubelskiego« poróżnić, chcesz pan, żeby cały Lublin się na mnie obraził?».

„W jaki sposób?” – odpowiada mnie ten malarz. „To jest właśnie herb miasta Lublina”.

„To niemożliwe. Domowa zwierzyna ze szpicbródką kasztan obgryza? Z kogo pan balona robisz? Do kogo ta mowa?”.

Dopiero jak mnie przysięgie złożył, że widział na własne oczy w Lublinie te koze, wymalowane na magistracie – uwierzyłem.

„A zresztą – mówi – nie wiadomo, co lepsze, czy mleczna zwierzyna domowa z drzewkiem, czy pół kobiety i pół szczupaka z pokrywką w jednej ręce, a z tasakiem w drugiej – to znaczy Syrena, czyli Baba-ryba, która – jak wiadomo – ma zaszczyt za herb miasta Warszawy się zatrudniać”.

„Faktycznie, może pan masz troszkę racji, ale w każdym razie ta koza może coś niecoś na tak zwaną jeronie wyglądać. Nie ma inszej rady, tylko wal pan w prawem winklu Babe-rybe, czyli Syrenę. Wtenczas nikt nie będzie miał pretensji”.

Jak to namalował – jeszcze gorzej wyszło. Wyglądało tak: rozmamłana blondynka z rybiem ogonem odpędza tasakiem od uschniętego kasztana świeżo wydojone koze. Tylko napisu brakowało: „A pódziesz od kwiatków!”.

Wiesz pan, że chyba zrezygnuje z tej laurki. Bo w ten deseń leżą i u Lublina, i u Warszawy. Lepiej z pustemi rękami przejechać się na miejsce aniżeli z obraźliwem widoczkiem.

Pojechaliśmy bez laurki, wzięliśmy udział w widowisku teatralnym, na które zjechał z Warszawy cały prawie Teatr Satyryków. Po przedstawieniu pan Teos rzekł:

– No a teraz żywo do Warszawy na kolację, bo sądząc po tem herbie, w Lublinie same mleczne bary muszą egzystować, a rozstrzepaniec na noc rzecz niepraktyczna. Do wstawiania zmusza!

Ale nie jest tak źle z Lublinem, skonsumowaliśmy na miejscu świetną kolację. Wśród napojów herbowego roztrze- pańca nie zauważyłem.

Styczeń 1953 r.

Radio z lufcikiem

– A właściwie powiedz mnie pan: co to jest ta telewizja?

– Radio z lufcikiem.

– To znaczy jak to?

– Zwyczajnie, w tym miejscu, gdzie masz panna Michcia na aparacie kawałek rypsu czy innej franeli, lufcik będzie zrobiony.

– W jakim celu?

– Żeby było widać, co się w środku dzieje, i dalszym kantom zapobiec.

– Jakiem kantom?

– Czarowaniu publiki za pomocą tak zwanego złudzenia ludzkiego ucha, czyli akustyki.

– Co proszę?

– Mniejsza o to. Nie połapiesz się panna Michcia. To są sprawy naukowe. Jednym słowem, teraz siedziem przed radiem jak ciemniaki i na słowo musiem wierzyć w każdy bajer, jaki nam derekcja radia zakłada. Słyszemy, dajmy na to, tak zwany reportaż z pustyni i puszczy. Noc ciemna jak wielkie nieszczęście, tylko błady księżyc oświetla Beduina, któren pędzi co koń wyskoczy, za niem z fatalnem rykiem zapycha tygrys... A jak jest naprawdę? W biały dzień, w ciepłym pokoju w derekcji na Myśliwieckiej ulicy siedzi dwóch facetów. Jeden za pomocą blatu od wiedeńskiego krzesła i dwóch połówek włoskiego orzecha odstawia tak zwany tętent konia, drugi trzyma na kolanach kota i ściska go w międzyczasie za ogon. Kot ryczy jak trzech tygrysów.

A teraz weźmiem na przykład taką operę „Halkie”. Kiedy my, splakane jak dzieciaki, siedziem przy głośnikach i serce nam się ściska, bo nieszczęsna Halka skacze jak raz do Morskiego Oka i własnoręcznie słyszemy plusk wody, ona w tym samym czasie siedzi w trajlebusie „54” i posuwa na kawę do „Marca” na plac Trzech Krzyży, bo topienie odstawia za nią reżyser za pomocą miednicy z ciepłą wodą i trzepaczki do bicia

piany. Przy telewizji tego już nie będzie. Nie będzie już w dziecinnej audycji „Czerwonego Kapturka” sto dwadzieścia kilo żywej wagi i trzy metry obwodu w talii. Nie będzie faceta z brodą, któren piskliwym głosem udziela porad dla karmiących matek jako „ciocia Jagusia”. Wszystko naocznie i na żywca.

Ale najwięcej się cieszę, że przyszła czarna godzina na tego lebiegie, co o szóstej rano gimnastykie skutecznie nas zmusza w desusach na dywaniku, a sam pod kordłą leży, jedną ręką walczyka na fortepianie podgrywa i jeszcze sztorcuje, żeby się uwijać: „I raz, i dwa, i trzy, i przysiad”.

Przysiad, owszem, ale razem. Wyłaż pan spod kordły i na dywaniki!... I raz, i dwa, i trzy, ale razem z nami, bo radio-słuchacze w lufcik patrzą!

Styczeń 1953 r.

Przesiadka na Księżycu

– Patrz pan, panie Królik, jak nam się w niedługim czasie komunikacja rozwinie!

– Faktycznie, niewąsko: tramwaj do Żerania, nowe linie autobusów...

– Do jakiego tam Żerania? Na Księżyc będziemy zapychać na narty, w podróż poślubną na Wenus, a kto będzie chciał się tylko troszkie przewietrzyć, Marsa czy innego Merkurego sobie obleci dookoła i do domu bez wysiadania.

– Co pan mówisz, to wczasy na Słońcu będziemy odbywać?

– No tak to znowuż nie za bardzo.

– Za daleko?

– Nie, tylko za gorąco od spodu. Nie uleżałbyś pan długo.

– Żart żartem, śmiech śmiechem, ale coś podobnież pisało w „Przekroju” o tem, że będziemy za pare lat jeździć sobie między gwiazdami, jak teraz z Wołomina do Warszawy.

– Też o tem mówię, bo na własne oczy czytałem. Mają być podobnie takie specjalne bomby atomowe z siedzącymi miejscami w środku. Ładuje się tam podróżnych, cały majdan nabija w armacie i wystrzela na Księżyc czy jakąś inszą gwiazdkie podług rozkładu jazdy.

– No dobrze, ale w jakim celu?

– Jak to w jakim? W turystycznym. „Orbis” to wykompinował. W Zakopanem w sezonie tłok, że palca nie ma gdzie wsadzić, a na Księżycu przestronno. To się pchnie troszkę gości na Księżyc, troszkę na tego Marsa i plan wykonany.

– No tak, ale to podobnie dosyć daleko stąd?

– Nie można narzekać, ładne pare lat w jedne strone się jedzie.

– Ale kolejarze nie będą chyba tej komunikacji obsługiwać?

– Dlaczego?

– Bo jeżeli o wiele teraz na Dworcu Głównym w Warszawie słyszę przez „pudełko”, że: „Pociąg międzynarodowy do Paryża przez Ożarów, Błonie, Sochaczew, Żyrardów, Berlin, Brukselie ma dwieście dziewięćdziesiąt dziewięć minut spóźnienia”, to się pytam pana szanownego: jakie będą ogłoszenia, na tem atomowym dworcu międzyplanetarnem?

Chyba takie: „Atomówka pospieszna Mars – Ziemia przez Księżyc – dotychczasowe opóźnienie czterdzieści siedem lat, pięć miesięcy i dwanaście dni?”.

– Owszem, to rzecz możliwa.

– To wyjeżdż pan tam w podróż poślubną, przywieziesz pan nazad dorastające wnuki.

– Tak wychodzi. Całe szczęście, że ani mnie, ani panu już to nie zagraża, już jesteśmy po poślubnych podróżach, a po drugie za jakieś piętnaście lat ma się zacząć stała pasażerska komunikacja w tamtem kierunku. Może do tego czasu tamtejsza ludność się do nasz odezwie.

– To tam egzystuje ludność?

– Na Marsie są podobnie jakieś faceci.

– A skąd o tem wiadomo?

– Astronomi wykapowali przez rolnetki.

– Prooosze?

– Astronomi to takie profesorzy, co przez zakopcone szkła na zaćmienie słońca uważają, a także samo przez rolnetki na gwiazdy kapują. Jednego razu dwóch z tej branży siedziało na drapaczu chmur z rolnetką i jeden z nich zaznacza, że ludzi na gwiazdce widzi.

„Gdzie, gdzie” – pyta się ten drugi i rolnetkie mu odbiera, wytrzeszcza oczy i krzyczy: „To nie ludzie, to szczypawki albo mrówki”.

„Niech ja skonam, ludzie!”.

„Skarż mnie Bóg, szczypawki” – i o mały figiel się nie pobili.

Stanęło na tem, że coś się na tem Marsie jednakoż rusza i że mogą to być ludzie. Ale na pewno nie wiadomo.

– Jeżeli o mnie się rozchodzi, to mogie poczekać, aż się komunikacja ustali, wtedy skoczy się której niedzieli na tego całego Marsa z przesiadką na Księżycu, przekonać się naocznie, czy to ludzie, czy szczypawki. Może jakieś ciuchy się kupi.

Styczeń 1953 r.

Mantyka za prześcieradłem

Tak się jakoś złożyło, że nie byłem dotąd na „Sprawie do załatwienia”. A tu proszą o „garść wrażeń”. Ale od czego ma się znajomości?

Wsiadam więc w tramwaj i jazda do pana Piecyka na Targówek. Pan Teoś przyjął mnie dość kwaśno, co bardzo było dziwne, gdyż gościnność stanowi jeden z fundamentów charakteru tego typowego warszawiaka starszej daty. Z ponurą miną postawił na stole ocet, galaretę z nówek i karafkę domowej nalewki na wiśniach.